

PAUza

Akademicka



Rok VIII

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 330

Kraków, 3 marca 2016

pauza.krakow.pl

pau.krakow.pl

Nie majstrujcie przynajmniej przy doktoratach, proszę!

Coraz więcej spraw w nauce musi być ujętych w sformalizowane przepisy i regulaminy. Jak w wojsku, gdzie każdy rekrut zawsze słyszał, że „regulaminy są podstawą życia wojskowego”. Ostatnio opracowujemy więc instytutowy regulamin przeprowadzania przewodów doktorskich. Nie wystarczy ustawa o stopniach naukowych, nie wystarczy zwyczaj, zdrowy rozsądek, założenie o dobrych intencjach większości naukowców oraz zwyczajne działanie Dyrekcji i Rady Naukowej. Regulamin ma być, władza kazała!

Jestem posłusznym obywatelem i naukowcem. Ma być promotor pomocniczy? Proszę, niech będzie. Niezbyt wiem wprawdzie, czemu ma on służyć. Najpewniej sławny naukowiec, do którego garną się doktoranci, będzie się nim wysługiwał do bieżącego, jeśli nie faktycznego kierowania. Co takie rozwiązanie zaś da temu promotorowi drugiej rangi? Pewno da mu parę punktów – co ma swoją wartość. Przecież dziś żyjemy dla punktów. Sam za PRL-u żyłem dla planu (a przynajmniej udawałem, że żyję dla planu), więc teraz mogę żyć dla punktów (zwłaszcza że sam mogę się już nimi nie przejmować). Właściwie to punkty i plan dadzą się pogodzić. By zmieścić się w określonej działce parametryzacji, instytut musi wyrobić pewną liczbę punktów. Taki jest plan. Całkowicie więc rozumiałem kolegę, który w momencie międzypomiarowym zapytał, jaką część planu już wyrobiono. Mniejsza jednak o to. Cokolwiek by było, promotorzy pomocniczy nie są a priori niczym złym. Wszystko zależy od tego, jak się ułoży każdorazowa sytuacja.

Przeraził mnie inny punkt regulaminu – podobno wprowadzany też z woli Władz. Brzmi: „Recenzja może zawierać wnioski dotyczące uzupełnienia lub poprawienia rozprawy doktorskiej, które następnie przekazywane są kandydatowi. Uzupełniona lub poprawiona rozprawa doktorska jest skierowana do ponownej oceny tych samych recenzentów, którzy przedstawiają ją w terminie jednego miesiąca od otrzymania wniosku”. Otóż, pozwolę sobie powiedzieć, że taki zapis jest sprzeczny z całym moim wyobrażeniem natury przewodów doktorskich. W moim przekonaniu doktorant robi badanie i pisze rozprawę pod kierunkiem promotora (no, niech już będzie: także promotora pomocniczego). Gdy zostaje zaaprobowana przez promotora, przedstawia ją wskazanym przez Radę recenzentom do oceny. Nawet jeśli recenzenci mają zastrzeżenia, to a) praca jest skończona i przedstawiona; b) ani doktorant, ani promotor nie mają obowiązku zgadzać się z krytyką recenzentów. Doktorant winien przemyśleć zarzuty i podjąć publiczną obronę własnych ustaleń. Obroni je przed komisją, albo nie, jego ryzyko. Przed komisją, a nie pojedynczym recenzentem i to tym samym, który sformułował opinię. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, ilu oryginalnych na-

ukowców było po prostu tępionych przez zrutynizowanych starszych kolegów.

W zaproponowanym w formie propozycji nie do odrzucenia rozwiązaniu przeraża mnie też faktycznie pozytywistyczne podejście do nauki. Może ono sprawdza się w naukach przyrodniczych (tego nie wiem!), ale nie w humanistyce (to wiem!). Przecież w projekcie tkwi głębokie założenie, że istnieje optymalna, właściwie jedyna poprawna wersja gotowej rozprawy. Jeżeli to nie jest akurat ta wersja (decyduje recenzent), to doktorant powinien ją „uzupełnić lub poprawić”. Otóż tak nie jest. Zgodzę się, że także w humanistyce zdarzają się słabości i błędy, których nie da się obronić. Takie knoty jednak nie powinny przejść do fazy recenzji, nad czym powinien czuwać promotor i komisja powołana do przeprowadzenia przewodu. W ogromnej większości sytuacji recenzenci podnoszą jednak kwestie dyskusyjne. Obrona jest miejscem do dyskusji między nimi a doktorantami. Sam, jako potencjalny recenzent, nie chciałbym roli kontrolera komunikacji miejskiej, który przepuszcza klienta bądź nie, a jeszcze trochę można się z nim potargować (jak pan/pani poprawi, to przepuszczę...).

Jest też w tym wszystkim założenie, że doktorantura to standaryzowane studia. W głębszej warstwie tej koncepcji dysertacja to nie oryginalna praca, ale praca, którą należy sprawdzać i oceniać jak studenckie prace kontrolne („Proszę to i to poprawić, proszę przynieść mi jeszcze raz...”). Jednocześnie stypendium doktoranckie – jeśli nawet istnieje – nie pozwala na utrzymanie się, a zatem trudno traktować przygotowywanie rozprawy jako rutynowe działanie (co też by mnie nie cieszyło, ale przynajmniej byłoby logiczne). Zmniejszenie społecznej wagi obron, z jakim mamy do czynienia przynajmniej w Warszawie, potwierdza zmianę charakteru doktoratu. Jakiś czas temu oraz w znanych mi – prawda, że nielicznych – przypadkach zagranicznych, obrona była (jest) świętem doktoranta, jego rodziny, środowiska. U nas coraz częściej załatwia się ją pomiędzy jednym obowiązkiem a drugim, jak kolejny egzamin, kolejny obowiązek.

Po mojej obronie doktorskiej otrzymałem karteczkę od prof. Aleksandra Gieysztora: „Najlepsze życzenia na doktorską drogę życia – to najpiękniejszy nadal tytuł na świecie – gratulacje bardzo serdeczne”. Karteczka jest datowana 17 października 1968 r. Jej treść tłumaczyła się nie tylko sympatią dla mnie. Moja obrona wypadła wkrótce po „marcu” i po wielkim, „marcowym” niszczeniu nauki polskiej. Istotnym elementem owej akcji było zniesienie obowiązku habilitacji i przyspieszony awans na docentów ludzi, którzy w większości byli nieukami. Myśmy ich nazywali „volksdocentami”. Idea prac doktorskich się obroniła. To jest nadal „najpiękniejszy tytuł na świecie”. Ostrożnie z zapałkami!

MARCIN KULA

Uniwersytet Warszawski (emeritus),
Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie